



(...) Istnieje w naszym myśleniu aksjomat o niedoścignionych amerykańskich wzorach komedii muzycznej, przeświadczenie o z góry założonej gorszości naszej sztuki musicalowej. Przeświadczenie to jest doskonale intuicyjnie wyczuwalne, potwierdza je praktyka, natomiast próby wytłumaczenia zjawiska wydają się mocno niewystarczające. Nie chce mi się wierzyć, żeby cały szkopuł tkwił w możliwościach językowych: twierdzi się czasami, że język angielski, w którym występuje mnóstwo wyrazów jednosylabowych i elastyczny akcent, jest wprost stworzony do śpiewania, podczas gdy język polski z tym diabelnie sztywnym naciskiem na drugą od końca sylabę tworzy dla librecistów trudności nie do pokonania. (Twórczość tekściarzy-ekwilibrystów językowych od Tuwima i Minkiewicza do Młynarskiego i Osieckiej zdaje się jednak temu zaprzeczać). Nie chce mi się wierzyć, żebyśmy byli narodem wybranym przez słońca di nadeptnięcia na ucho, szczególnie upośledzonym pod względem muzyczności: nie można tego mierzyć festiwalami piosenek ulicznych, które śpiewakom świeżo opuszczającym knajpy istotnie kiepsko wychodzą. Cała ta „specjalizacja narodowo-teatralna”, w myśl której francuska jest farsa, wiedeńska – operetka, skandynawski – ponury dramat, zaś amerykański – musical, też tylko powierzchownie wyjaśnia przepaść między nami a Broadwayem. Na czym więc ona polega? (...) Rzecz tkwi głębiej niż wybory określonych estetyk, tkwi w stosunku twórców do tworzywa, w pojmowaniu teatru. W bezwzględnym okrucieństwie amerykańskiego systemu teatru komercyjnego. (...) Sukces okupiony jest ciężką i wytężoną pracą nad stworzeniem arcydzieła, specyficznego arcydzieła sztuki musicalowej. Nietrudno je scharakteryzować – jego wyróżniki są analogiczne we wszystkich twórcach kultury popularnej. Zamykają się one w ogólnym kryterium maksymalnej atrakcyjności możliwie wszystkich części składowych dzieła.



Atrakcyjność: pojecie trudno definiowalne. Można je chyba próbować określać jako wypadkową oryginalności i konwencji: widz musi być olśniony czymś nowym, nie oglądanym, ale nie może to być coś zbyt odległego od jego przyzwyczajeń. Atrakcyjność muzyki, inscenizacji (niekoniecznie wystawność, raczej pomysłowość), śpiewu, ruchu, gry aktorskiej (w scenariuszu musi być dobry materiał aktorski, musi być wpisane miejsce na popis grającej główną rolę gwiazdy; gwieździe z kolei nie wystarczy samo nazwisko, ale musi stworzyć kreację na oczekiwanym poziomie). Także atrakcyjnie harmonijne scalenie reżyserskie tych elementów. Także atrakcyjność samego tematu: musical wyklucza przepastne głębie filozoficzne, ale w najmniejszym stopniu nie oznacza to preferencji dla wygłupu i humoru mechanicznego. Wręcz przeciwnie: najwybitniejsze musicale mają bardzo inteligentne i nierzadko dość cienko zrobione libretta, oparte na niezłej podbudowie intelektualnej (...). Warunek sine qua non, poza wszelką dyskusją, to *techniczna bezbłędność wykonania*. Nie precyzja, nie fachowość, ale właśnie więcej: bezbłędność. I jeszcze jeden parametr najbardziej hazardowy, nieobliczalny: utrafienie w nastroj, sympatie, nastawienie publiczności. Arcydzieła amerykańskiego teatru musicalowego powstały z nieprzytomnego „żyłowania” atrakcyjności widowiska i są okupione ruinami, dramatami, klęskami tych, którzy wycisnęli zbyt mało. (...)

(...) Nie mamy żadnych szans na gonienie i dogonienie amerykańskiego musicalu. Nie dlatego, abysmy w potrzebie nie potrafili stworzyć widowiska o odpowiednim stopniu atrakcyjności, ale właśnie dlatego, że nie ma i nie będzie takiej potrzeby. Nie istnieje żaden imperatyw, który pchałby twórców do śmiertelnego wysiłku tworzenia arcydzieła, istnieje za to sporo czynników takiego wysiłkowi przeszkadzających (...)

Musical są praktycznie nie recenzowane, krytyka nie chodzi na nie, chodzi tylko publiczność: spragniona śpiewu, tańca, podkaszanych panienek, humoru i sentymentu. Publiczność, która nie wymaga ani oryginalności (stare kawały najlepiej śmieszą), ani cienia problemu, zaś co do atrakcyjności, to naprawdę wystarczy namiastka: lepsze to niż nic! (...)

Przyznam się, że chciałbym oglądać musicale na deskach polskich teatrów. Nie mówię o teatrach muzycznych – to beznadziejne. Chciałbym oglądać musicale na scenach teatrów dramatycznych. Tych najlepszych. Z najlepszymi aktorami. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ja nie namawiam do żadnego eskapizmu. Teatry dramatyczne chcą mówić serio o sprawach ważnych na dziś, chcą nawiązywać kontakt z widzem, gotowe płacić duże ceny za aktualność i nośność swoich dzieł – to oczywiste. Ale chociaż raz na sezon można by sobie pozwolić na spektakl z fajerem, nie mający ambicji superaktualności, ani superawangardowości. Tradycyjne, rozśpiewane, roztańczone przedstawienie z inteligentnym dowcipem, bogatym aktorstwem, z poczuciem pełnej przyjemności po obu stronach rampy. I *conditio sine qua non*: żeby nikomu z realizatorów przez myśl nie przeszło, że to dzieło mniej ważne czy drugorzędne.

Chciałbym oglądać dobrze zrobione musicale na deskach teatrów dramatycznych. A to dlatego, że mam niezachwianą pewność, iż wówczas pozostałe spektakle – te super-serio, te lokaty ambicji artystów – ogladałoby się lepiej.

Kogo stać na musical? w: „Dialog” nr 11/1983 (przedruk).